

Jeżeli wieczność istnieje, śmierć jest tylko żartem¹

Izabela Fietkiewicz-Paszek

Właśnie weszła informacja od naczelnego sZAFy: *Jerzy Reuter nie żyje. Miał 56 lat.*

Zaczepialiśmy się mailowo. A to przy okazji wspólnej bytności w redakcji, a to przy okazji moich nieśmiałych wprawek prozatorskich, na które Jurek rzucał cierpliwie i życzliwie profesjonalnym okiem, przy okazji jego opowiadań, artykułów czy zdjęć starego Tarnowa (niezwykła to była pasja!), kolejnych moich książek, z których się cieszył, tak po prostu. Przy okazjach różnych. I bez okazji, nawet częściej bez. Ostatecznie nie udało nam się zdewirtualizować znajomości, pięcioletniej, jak się właśnie doliczyłam. Cały czas był jeszcze – no właśnie – czas. Teraz czytam, co czytam, siedzę z tym swoim czasem i naprawdę nie wiem, co powiedzieć. 56 lat, czyli zdecydowanie za wcześnie. Czyli trudno w naturalny sposób zaakceptować takie odejście. Mnożą się pytania o to, ile mógłby jeszcze zobaczyć, zrobić, stworzyć. Ile opowiedzieć i dopowiedzieć historii o dawnym Tarnowie. Ponoć był w trakcie pisania powieści kryminalnej. Dobrze 20 sezonów można by mu chyba było bez większej łaski podarować. Albo chociaż jeden, na dokończenie powieści.

W momentach, kiedy pojawia się w okolicy śmierć, wariują we mnie wszystkie aksjomaty, gną się na prawo i lewo drogowskazy, które przez lata naustawiałam mniej czy bardziej wierząc w ich prawdę. Zamiera język, który zazwyczaj przecież wpycha się między sprawy i musi je wszystkie podotykać, ponazywać, poobgadywać, poosadzać w kontekstach. Teraz nieruchomieje. Śmierć stawia znaki zapytania tam, gdzie wydawało się, że grunt jest utwardzony i można po nim stąpać. Nic z tego.

Dziś jest czwartek, 26 kwietnia 2012. Za 2 miesiące kończę 40 lat, nigdy nie byłam w Tarnowie i, co pozornie wydaje się najpoważniejszą między nami różnicą, wciąż jeszcze żyję. Który z tych punktów zmieni się pierwszy? Czy na pewno najpierw przyjdzie piątek? Byłam kiedyś z E. w Wiedniu, zagadał nas pod Schoenbrunnem w pekińskim angielskim zdezorientowany biznesmen. E. poinstruowała go cierpliwie, jak się w mieście odnaleźć. Dziękując wręczył jej wizytówkę i rzucił zdanie rodem z wytrawnego kabaretu, które natychmiast urosło do rangi rodzinnej anegdoty: *jak będziesz w Chinach, zapraszam na kawę*. Był rok 1992, ledwo co uchyliły się przed nami europejskie granice, Chiny pozostawały w zasięgu równie realnym jak Mars. I? Nie minął rok, a E. piła kawę w Szanghaju z naszym wiedeńskim kolegą. Skąd brać pewność?

Czasami coś napiszę, coś przeczytam, ale nie przejmujcie się, nie biorę tego na poważnie – witał Jurek czytelników swojego bloga. Dystans do siebie i do własnego piarstwa. Piękna i szlachetna rzadkość w świecie, w którym przerost ego jest chorobą cywilizacyjną (bynajmniej nie: cywilizowaną).

Dwa zbiory opowiadań, udział w trzech antologiach, kilka słuchowisk i dramatów. Felietony, wywiady, artykuły o historii i ludziach Tarnowa. Podszyte celną satyrą publicystyczne komentarze do życia, spisane z wyczuciem, lekkim, zgrabnie prowadzonym piórem. To wszystko. Przynajmniej – znane i dostępne wszystko, ponieważ najprawdopodobniej znacznie więcej zalega w szufladach; Jurek nieszczególnie potrafił zadbać o pa-

¹ Jorge Luis Borges

pierowe życie dla swojej twórczości, nie wydeptywał ścieżek do mecenasów, nie zabiegał, nie *autopromował*. Cieszył się, gdy coś „samo się” przebiło do szerszego grona czytelników, natomiast nie umiał być swoim menadżerem, a to ustawiło go gdzieś na boku życia literackiego, ale jednocześnie pozwoliło zachować niezależność i styl. I zdrowy rozsądek.

Statystyka jest nieubłagana. W moim molochu umiera średnio jeden człowiek na tydzień. Wyliczyłem to sobie w skali roku. Smutne, ale jak już powiedziałem, jest to jedna z czynności obowiązkowych i ostateczna. Przyjdzie i na mnie taki tydzień. To fragment opowiadania pt. „Bo ja robię co chcę”. Sprzed 2 lat. Sprzed ponad 100 tygodni. I może jeszcze jedno wspomnienie z tego czasu: fotoreportaż Jurka o obchodach Dni Katynia nosił tytuł *pozostaną po nas tylko wspomnienie i udawana żałoba*. Był uważnym obserwatorem, znał życie i jego pułapki, znał ludzi i ich małostki, a to przecież nie pozwala na luksus nadmiernego optymizmu czy przesadnych złudzeń.

A jednak zostanie po Nim na szczęście coś więcej – trochę tekstów, dobrych tekstów, do których warto wracać. Szczególnym sentymentem od dawna darzę „Ząb narwala”, opowiadanie zakończone sceną, która dzisiaj rezonuje we mnie w zupełnie inny sposób:

Podałem jej butelkę. Wypiliśmy za wieczną drogę, za tych, co na szlaku.

– Poszedł na zawal – powiedziała.

– Był sobie Wadza...

– Ale wie pan co? Pan wie? Ja panu powiem, powiem, że nie spotkałam w życiu tak porządnego człowieka. To był bardzo porządny człowiek. Ten mój Wadza.

Izabela Fietkiewicz-Paszek



Jerzy Reuter